

Bolków - Bolkenheim

Regionalne Centrum Lotniczego Przemysłu Zbrojeniowego III Rzeszy

Na temat Bolkowa w 1882 roku „Tygodnik Ilustrowany” nr. 348 pisał między innymi: „*Nie myślimy zapuszczać się w czasy przedhistoryczne, choć z obowiązku kronikarskiego przemilczeć nie możemy, że według podania ten zamek już w roku 807 po Chrystusie pogański książę Bolek miał pobudować. Nam się zdaje rzeczą prawdopodobniejszą, że jest on jedną z twierdz pobudowanych przez króla Bolesława Chrobrego około roku 1018, za zachodzie państwa, ku zabezpieczeniu granic przeciw nieprzyjaciółom kraju.*”

Położenie zamku bardzo jest piękne. Z jednej strony roztacza się widok na dolinę jaworską z niezbyt odległymi zwaliskami zamku Świnki (Schweinhaus), a z drugiej na zamek Nimmersalt (po polsku tyle co Nienasyconiec, Niesytno), również w dolinie leżący. Niegdyś był ten zamek dwoma murami obwiedziony, z których zewnętrzny łączył się z murem miasta. Na wielkim podwórzu zamkowym znajduje się w skale wykuta, podobno 74 łokcie głęboka cysterka, w którą śnieg i deszcz zbierano, dziś prawie zupełnie zasypana. Ze szczątków dawnej świetności wzmianki godna wieża głodowa, około 150 stóp dawniej wysoka, niegdyś więzienie dla przestępców. W roku 1813 w czasie wojen napoleońskich żołnierze rosyjscy sprzymierzeni z Prusami, załogą w Śląsku stojący, ulegając zapewne ciekawości, a może aby do skarbów się dostać, zrobili wyłom w wieży.

Wynikiem tych poszukiwań było znalezienie wielkiej liczby kości ludzkich, a przeważnie szkieletów kobiecych, które naprzeciw wejścia do zamku pogrzebano”.

Miasto i zamek położone są 33 km na wschód od Jeleniej Góry, w tymże też województwie. Do dzisiaj nie jest historykom znana data założenia grodu, ani lokalizacja miasta. Wiadomo jedynie, że w 1276 r. miasto już istniało. Prawdopodobnie miasto i gród powstało w 1241 r. i pierwotnie nazywało się Gaj lub Hain, a nazwę Bolków nadał książę Bernard na cześć swego ojca - Bolka I.

Pod koniec XIII w. ograniczono rolę kasztelanii w pobliskich Świnach, odległych od Bolkowa o niecałe 3 km, przez co wzrosło znaczenie Bolkowa.

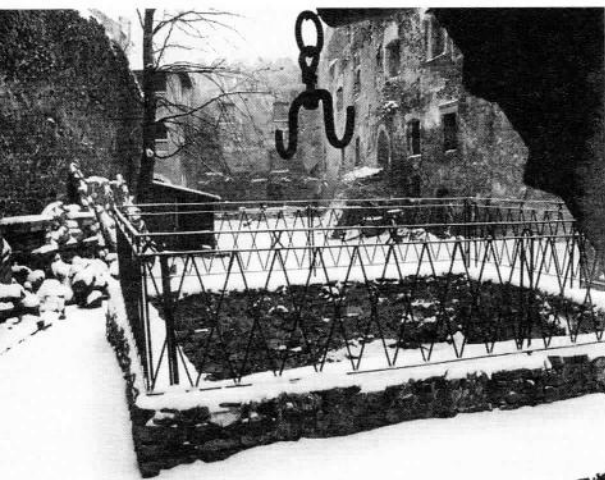
Zamek przechodził różne dzieje. Władali nim książęta piastowscy z linii książąt świdnickich, ale też i Czesi, a także zwykli rozbójnicy, którzy musieli być przywołani do porządku przez specjalną wojenną wyprawę mieszczan wrocławskich i świdnickich w 1468 r., oraz Szwedzi (1646-1650 r.).

Zamek w Bolkowie był tak mocną i potężną jak na owe czasy twierdzą, pełną tajemniczych schowków i niedostępnych zakamarków, że słowiańscy książęta świdniccy, od Bolka I poczynając, mieli w Bolkowie skarbiec księstwa. Zamek pełnił rolę skarbcza przez około 100 lat, do roku 1392, kiedy to księstwo świdnicko-jaworskie dostało się pod władanie Czechów i skarbiec został wywieziony do Pragi.

Bez wątplenia te właśnie tajemnicze walory zamku, jego położenie i możliwość zorganizowania bezpiecznego skarbcza, zdecydowały o tym, że przez kolejne ponad 100 lat (1700-1810) służył on ogromnie bogatemu i niezwykle zaradnemu zakonowi Cystersów z Krzeszowca, który to zakon odkupił Bolków od rodziny von Zedlitzów.

W 1810 r. król Prus upaństwowił wszystkie dobra zakonne i od tego czasu zamek stał się własnością skarbu państwa. Jednak mit o tym, że kryje on nadal nieodkryte skarby pozostał, i wspomniani Rosjanie nieprzypadkowo poszukiwali skarbu w wieży zamkowej. Stali się w ten sposób pierwszymi eksploratorami...

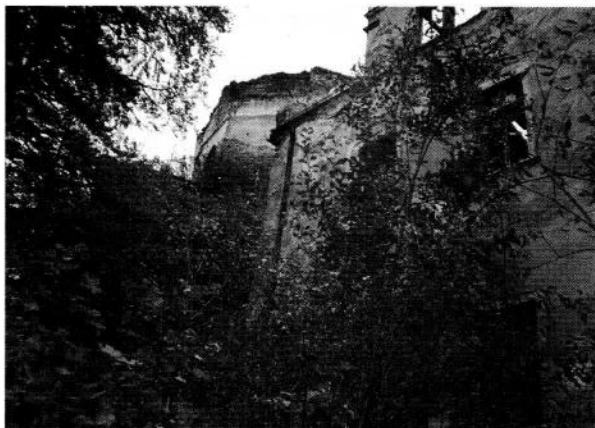
Przy tym, analizując informację Tygodnika Ilustrowanego z 1882 r. trzeba zaznaczyć, że działania



Dziedziniec zamku w Bolkowie



Zamek Świny



Niestytно. Ruiny starego zamku oraz pałacu



Niestytно. Czyżby tunel pod wieżą zamkową?

wiecznych podziemne połączenia z zamkiem w Bolkowie, które zostały przez Niemców rozbudowane dla potrzeb podziemnej części fabryki lotniczej. W samym Bolkowie zaś urządzono produkcję zbrojeniową w zakładach włókienniczych obecnie noszących nazwę „Silana”. Na tyłach tej fabryki, u podnóża przyległej do ogrodzenia Góry Ryszarda zbudowano

podziemną fabrykę VDM, której oryginalny niemiecki plan prezentujemy w artykule.

Fabryka ta posiada 7 hal. Długość każdej hali wynosi 106 m, a szerokość 5,20, co daje ogólną powierzchnię 3.850 m² (106 x 5,20 x 7). Są tu ponadto trzy korytarze komunikacyjne mające po 152 m każdy. Ich szerokość wynosi 3,45 m. Środkowy korytarz ma 152 m długości, oraz 2,80 m szerokości. Razem ta powierzchnia korytarzowa, nie licząc obudowy betonowej, wynosi 1500 m².

Łączna powierzchnia wynosi zatem 5.350 m², bez wliczania powierzchni wartowni, powierzchni wjazdowych, komór technologicznych i bez będącej w budowie czwartej sztolni upadowej.

Z odnalezionych w Archiwum Państwowym we Wrocławiu relacji źródłowych wynika, że ta podziemna fabryka w Bolkowie miała trzy wejścia od strony zaplecza dzisiejszych zakładów „Silana”. Środkowe wejście było technologicznym. Jednocześnie drażono czwarte wejście - sztolnię upadową, której do końca wojny nie wykończono - tak to przynajmniej wynika z relacji budowniczego i oględzin terenowych. Ta sztolnia pozostała odkryta.

Przy budowie tej i innych tego typu fabryk podziemnych, między innymi budowanych w rejonie Kamiennej Góry, Niemcy wykonywali wejścia tylko tak szerokie, aby mógł wjechać samochód ciężarowy. Dalej jednak tunele rozszerzono do rozmiarów szerokich i przestronnych hal. W tej konkretnej fabryce podziemnej Niemcy produkowali części do samolotów.

Ze znanego już „Wykazu Wróbla” wynika, że w Bolkowie funkcjonowały naziemno - podziemne zakłady lotnicze o nazwie VDM Luftfahrtwerke AG. Ten tajemniczo brzmiący skrót to Vereinigte Deutsche Maschinenwerke, czyli państwowe zakłady lotnicze, należące do Zjednoczenia Niemieckiego Przemysłu Maszynowego, oczywiście spółka akcyjna.

Takich „podpiwniczonych” zakładów VDM Luftfahrtwerke według wspomnianego „Wykazu Wróbla” było na Dolnym Śląsku co najmniej kilka. Jeden z nich był np. we Wrocławiu, przy ulicy Kruczej 62!

O ich randze w przemyśle zbrojeniowym Rzeszy świadczy fakt, że podobne zakłady umiejscowione w Krzaczynie-Kowarach produkowały między innymi silniki raketowe do samolotów i do znanych raket V2.

W 1947 r. specjalna ekipa rządowa wpadła na trop podziemnej fabryki w Bolkowie. Miejscowi Niemcy poinformowali jednak ówczesnych eksploratorów, że zawałone sztolnie prowadziły do małych magazynów fabrycznych, budowanych w stoku góry i niczego nie zawierają, poza sprzętem górniczym, służącym do drażenia skały. Dano wiarę tym wyjaśnieniom i uznano za nieopłacalne przebijanie się do wnętrza wyrobisk.

Nie dano za to wiary informatorowi wywodzącemu się z kręgu budowniczych tej fabryki, który ją dokładnie opisywał i potwierdzał, że była w ruchu, produkowała, a pod koniec wojny wejścia wysadzono prawdopodobnie wraz z ludźmi tam pracującymi. Świadek ten między innymi potwierdził znaną i dzisiaj prawdę, że Niemcy celowo pozostawiali fragmenty budowli podziemnych, robiących wrażenie nieukończonych, celem odwrócenia uwagi od pobliskich, w pełni eksploatowanych obiektów. Klasycznym przykładem tego są dostępne sztolnie w Górach Sowich, w Książu, Bolkowie i w wielu innych tego typu obiektach.

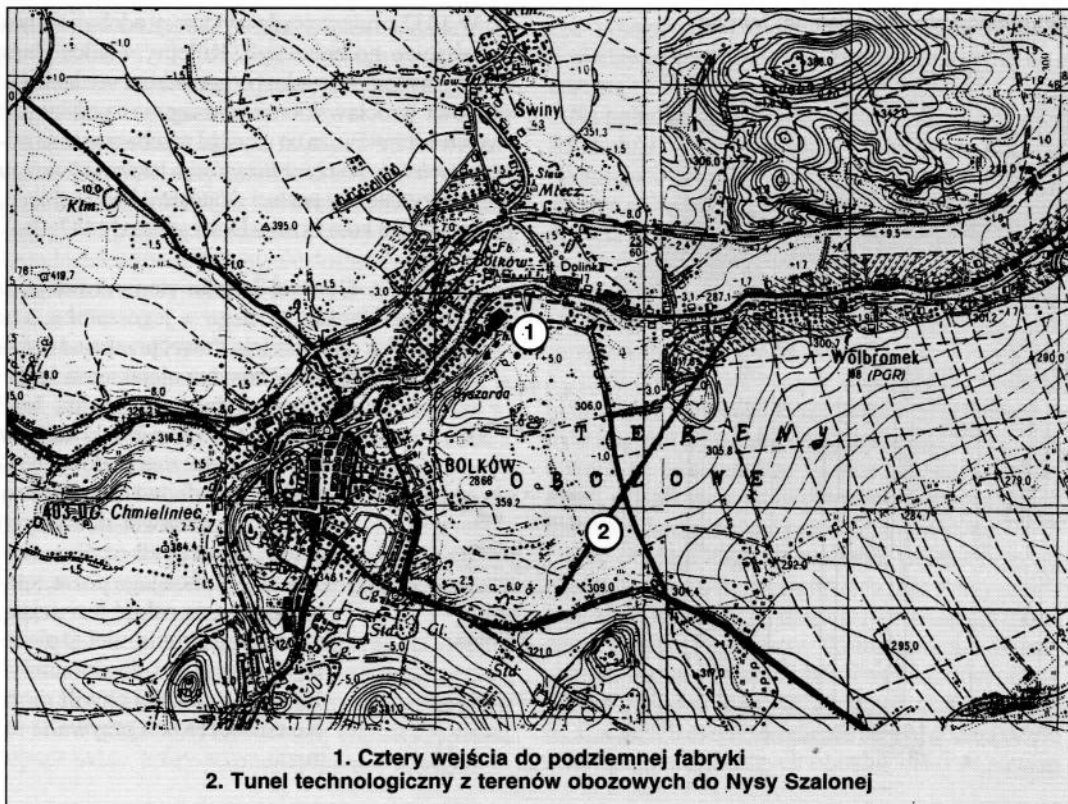
Parę lat temu pewna mieszkanka Dolnego Śląska (danych osobowych celowo nie podaje) poinformowała, że jej kuzyn w czasie wojny był strażnikiem - wachmanem na zamku w Bolkowie. Według tego kuzyna, pod koniec wojny na kilka dni usunięto z zamku stałych strażników, a ich rolę przejęli SS-mani. W tym czasie przy pomocy więźniów w podziemnych kazamatach zamku ukryto skrzynie, zabetonowano wejście do tych komór, a także zabetonowano przejście tunelowe do Świn. Puste przestrzenie wypełniono ziemią i piaskiem. W ten sam sposób wypełniono, a później zasypano cysternę - studnię na dziedzińcu zamkowym. Po wykonaniu prac maskujących wykorzystywanych do tego więźniów rozstrzelano.

Zamieszczony plan zamku w Bolkowie wskazu-

je, że były dwie cysterny. Jedna była prawie zasypana, według relacji Kuriera Ilustrowanego z 1882 r., druga jednak chyba była czynna.

28 lutego 1994 r. jeden z profesorów publicznie ogłosił na sesji naukowej, że Komisja Badania Zbrodni Przeciwko Narodowi Polskiemu nie będzie „badać” niemieckich zbrodni pod ziemią, nawet gdyby byli świadkowie do dyspozycji, do czasu aż Niemcy nie udostępnią nam swoich archiwów w tym temacie! Mam ogromny szacunek do Niemców i wiem, że nikt o zdrowych zmysłach nie udostępni materiałów, które go kompromitują, albo pozbawiają nadziei na odzyskanie ukrytych skarbów...

To właśnie Niemcy czynią wszystko, aby śmiłków wyciszyć. Odczułem to na sobie już w 1986 r., kiedy to przy pomocy wojska MSW, zgodnie z decyzją ministra Kiszczaka rozpocząłem prace poszukiwawcze w Lubiążu. Natychmiast zareagował agent niemieckiego wywiadu i prace zostały przerwane, nim zostały rozpoczęte! Przy okazji zadano ich organizatorowi - czyli mnie, śmierć cywilną - pozbawiono awansu, stopnia i stanowiska, dano "wilczy bilet" bym broń Boże nie mógł uruchomić jakichkolwiek poszukiwań! Milczenie trwa do dzisiaj, a krzywd nikt nie chce naprawić. Niedawno dotarli do mnie pogroźki o rychłej śmierci (policja umorzyła dochodzenie z braku możliwości wykrycia sprawy!), a także ostrzeżenie z RFN, bym uważał i wycofał się z badań, bo w przeciwnym razie



1. Cztery wejścia do podziemnej fabryki
2. Tunel technologiczny z terenów obozowych do Nysy Szalonej

W czasie ostatniej wojny cały obiekt był wykorzystywany dla celów militarnych, najprawdopodobniej jako podziemno - naziemna fabryka zbrojeniowa, a pod koniec jako kwatera dowodzenia Wehrmachtu.

Do dzisiaj od strony urwiska zachował się kawałek sztolni, długi na około 5 m (dane wg. przewodnika turystycznego) wykuty pod ocalałymi resztkami wieży zamkowej - nie mylić z wieżą pałacową. Miał to być ponoć schron przeciwlotniczy, ale jest to wątpliwe, bo przecież do schronu musi być łatwe dojście, a do tej sztolni praktycznie go nie ma. Jest to przypuszczalnie kuty, lub już wykuty szyb wentylacyjny, celowo umieszczony wysoko, aby nie było do niego łatwego dostępu ze strony np. dywersantów, lub by nie dotarły do niego gazy bojowe od bomb lotniczych.

Na pewno pod koniec wojny w pałacu i w podziemiach zamku rozlokował się sztab obrony Wehrmachtu. Być może korzystał on z podziemnych stanowisk dowodzenia, które wcześniej służyły innym celom, albo też zaczęto budowę podziemnej kwatery, jeżeli stosownych pomieszczeń wcześniej nie wykryto. Jakikolwiek sprawdzenie jest praktycznie niemożliwe z uwagi na zagruzowania i niebezpieczeństwa zawalenia.

Wśród niemieckiej ludności krążyła wersja, że zamek Niesytno, w tym też i pałac, miały średnio-wieczne podziemne połączenie z Bolkowem, co można poddać w wątpliwość z uwagi na dużą odległość, ale można też przyjąć z dużą dozą prawdopodobieństwa, że miał rozbudowane podziemne tunele ucieczkowe, łącznikowe, które zostały wykorzystane w czasie wojny.

Zachowała się ciekawa relacja z lat powojennych. Otóż w polskiej rodzinie osiedlonej w Niesytynie leczył się domowym sposobem ranny żołnierz niemiecki (pokłuty bagnetem), który nie chciał iść do radzieckiego szpitala by nie dostać się do niewoli; polskich nie było jeszcze, ale i do niemieckiego też nie chciał iść, gdyż to właśnie Niemcy już po kapitulacji „zabili go” bagnetem, aby nie mógł zdradzić ważnych tajemnic. Żołnierz ten pełnił służbę w ochronie sztabu wojskowego w Niesytynie. Ten to właśnie żołnierz też miał opowiadać, że zamek i przyległy pałac miały rozległe podziemia i były połączone z Bolkowem, odległym o 7 km, podziemnym tunelem.

Do tych tuneli przed kapitulacją zwożono samochodami ogromne dobra, które dobrze ukryto pod ziemią i zamaskowano wejścia.

Okoliczni mieszkańcy podejmowali na własną rękę wyprawy poszukiwawcze, ale niczego nie znaleźli. Zapewne to z tej przyczyny nie tylko stary zamek uległ dalszej dewastacji, ale też i w ruinie popadł pałac, który później spłonął. Podobnoż w



Zawalony tunel do podziemnej fabryki w Bolkowie

ostatnim czasie ruiny Niesytna kupiła (może jeszcze ubiega się o kupno?) pewna kobieta z Opola posiadająca podwójne polsko-niemieckie obywatelstwo.

Na południowy wschód od Bolkowa, w odległości około 4,5 km, w terenie zalesionym, na wschód od miejscowości Wierzchosławice znajduje się jeszcze jedna podziemna fabryka. Mało o niej wiemy. Udało się jednak ustalić na podstawie akt archiwalnych, że zaraz po wojnie właśnie w Wierzchosławicach znaleziono gotowe do dalszego transportu skrzynie z częściami do samolotów, oraz zapakowane spore ilości skrzydeł samolotowych.

Jeżeli do tego dodamy, że w pobliskim Jeżowie była też podziemna fabryka, że w samym Bolkowie była również wytwórnia łożysk tocznych, oraz odlewania, to bez żadnego ryzyka możemy powiedzieć, iż Bolków z przyległymi terenami był samodzielnym kompleksem produkcyjnym samolotów.

Dla obsługi tego kompleksu produkcyjnego Niemcy utworzyli ogromny obóz pracy przymusowej, zlokalizowany na dzisiejszych terenach rolniczych między Bolkowem, Wolbromkiem i Wierzchosławicami. Wkrótce obóz ten przekształcono w podobóz obozu koncentracyjnego w Rogoźnicy (K.L. Gross Rosen). Źródłowe zapisy podają różne informacje na temat tych obozów, jako że na tym



Bolków - tunel drążony przez poszukiwaczy

dużym obszarze było ich chyba kilka, w zależności od obsługiwanego obiektu. Otóż obok jeńców francuskich (kommando nr 403 i 404 ze stalagu VIII A w Zgorzelcu) były tu:

- podobóz męski, *Arbeitslager Bolkenheim*, zlikwidowany 28.02.1945r. poprzez ewakuację więźniów do Buchenwaldu.

- obóz pracy kobiet, założony w 1940 r. w październiku 1943 r. przekształcony w podobóz K.L. *Gross Rosen*.

- *Nebenlager Rotenhohe*, funkcjonował do lutego 1945 r. Więźniowie zajmowali 13 baraków, pracowali w VDM w Bolkowie przy produkcji części do samolotów.

- odrębny obóz żydowski o nieznannej liczbie więźniów, którzy też pracowali w VDM. Byli tu głównie Żydzi węgierscy i czescy. Ewakuowano ich w kierunku Jeleniej Góry.

- obóz pracy *Rote Hohe*, zlikwidowany dopiero w maju 1945 r. W sześciu barakach przetrzymywano więźniów różnych narodowości (Czesi, Francuzi, Polacy, Włosi), którzy pracowali w VDM.

Były też inne, bliżej nie rozpoznane obozy, a między innymi obóz na szczycie Góry Ryszarda.

Martyrologii więźniów Bolkowa i okolic nie poświęcono wiele uwagi. Baraki po wojnie rozebrano, nie dokumentowano też tego, co się stało z więźniami. Należy przypuszczać, że zginęło tam co najmniej kilka, jeśli nie kilkanaście tysięcy osób. Na pobożowych polach pozostał tylko niewielki pomnik z wyblakłą tablicą...

Dwa lata temu podziemną fabryką pod Górą Ryszarda w Bolkowie zainteresował się szef Towarzystwa Poszukiwania Zabytków, Jacek Wilczur i jego brigada „tygrysów”. Rozpoczęli prace na lewym tunelu, ale nie udało im się pokonać zawału. Zresztą amatorskimi metodami nie można było tego zrobić, zwłaszcza bez dużych środków finansowych. Fiasco było do przewidzenia. Na początku listopada 1997r. „Nowiny Jeleniogórskie” opublikowały sensacyjne informacje mówiące o tym, że za zawałone sztolnie zabrali się wreszcie fachowcy, którzy bez zbędnej fanfaronady osiągnęli cel i weszli do podziemnej fabryki...

O ile uda nam się potwierdzić te informacje, z czasem przeczytacie o tym Państwo w „Exploratorze”...

Stanisław Siorek



ProScan

44-100 Gliwice ul. Aleja Majowa 8/55

tel. (0 32) 38 80 97

e-mail: proscan@polbox.com

<http://www.polbox.com/p/proscan>

**OFICJALNY PARTNER FIRMY
WHITE'S ELECTRONICS (UK) Ltd**

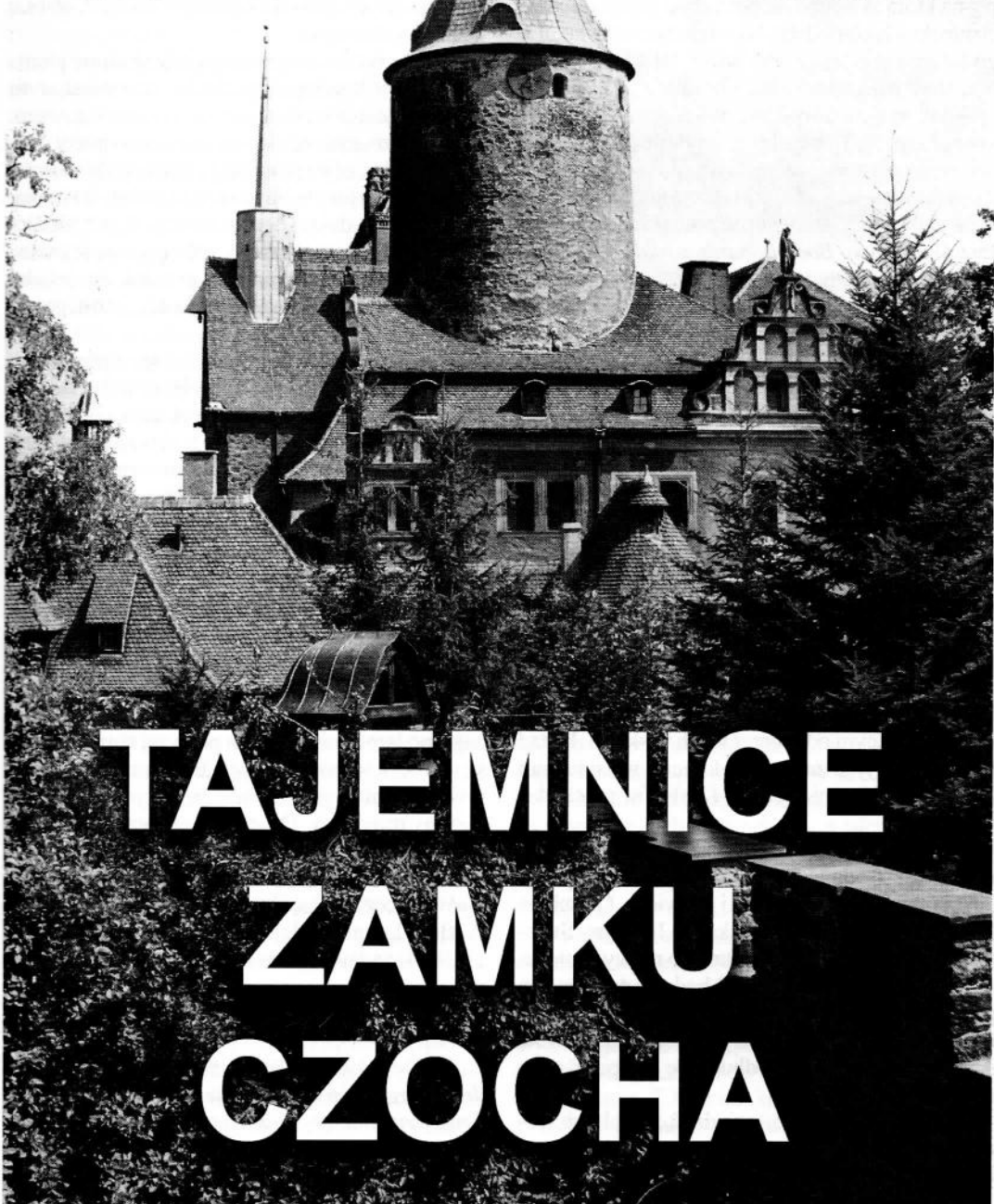
**Naprawiamy wszystkie modele dowolnej firmy
Jedyny w Polsce serwis zachodnich wykrywaczy metali!**

Oferta Firmy ProScan obejmuje także:

- tłumaczenia instrukcji obsługi i innych tekstów dotyczących detektorów
- doradztwo techniczne
- bezpłatne konsultacje przy zakupie detektora

Należy niewątpliwie do najatrakcyjniejszych obiektów w jeleniogórskim. Położony nad spiętrzonymi wodami Kwisy góruje okazałe nad całą okolicą. Budzi podziw choćby i dlatego, że miał szczęście do gospodarzy i nie popadł w ruinę, czego zazdrościć

może mu wiele zamków w okolicy, tego szczęścia pozbawionych. Budzi podziw i z innego powodu - a to za sprawą licznych tajemnic, zwłaszcza związanych z ukrytymi tu i przechowywanymi podczas II Wojny Światowej skarbami.



TAJEMNICE ZAMKU CZOCHA

TROPEM BODO EBHARDTA

O tym, że odkrywanie Czochoy niekoniecznie musi odbywać się na samym zamku, niech świadczy nieodległe zdarzenie. W wiosenne przedpołudnie na biurku kierownika lubańskiego Archiwum Państwowego zadzwonił telefon. Jakiś głos informował, że jedna z poważnych miejscowych instytucji (niech mi będzie wolno pominąć jej nazwę) „sprząta z papierów” swoje biura. Zaś wszystko, co zbyteczne, przygotowuje do wysyłki na makulaturę. Pod oknami firmy postawiono okazałą przyczepę, na którą składano niepotrzebne papiery. Adam Baniecki - bo on odebrał ów telefon, udał się niezwłocznie pod wskazany adres. Efekt penetracji przeszedł najsmielsze oczekiwania!

W kilkanaście dni później w lokalnym miesięczniku „Przegląd Lubański” w artykule „Sensacyjne odkrycie planów przebudowy Zamku Czocho” mogłem napisać: „*Plany przebudowy zamku, które w roku 1909 i następnym podjął się znany niemiecki architekt - Bodo Ehardt, zostały odnalezione! Zawdzięczamy to głównie archiwistom lubańskim, których wyczucie i „nos” pozwoliły uratować plany spod sterty starych papierzyśk, przygotowanych przez jedną z lubańskich instytucji do wywiezienia... na makulaturę do Fabryki Tektury w pobliskim Jałowcu! Dzięki naszej redakcji i osobistemu zaangażowaniu Zbigniewa Świrskiego, prezesa zgorzeleckiego „Famago”, udało się odnalezione plany skopiować, zaś archiwistom oryginały zabezpieczyć*”.

By uwiarygodnić tę relację, obok tekstu zamieściłem fragment planu rekonstrukcji zamku z wyraźną sygnaturą w prawym dolnym rogu: „*Professor Bodo Ehardt Architekt. Grunewald Dezember 1911 Nr 1230.*”

Największe z planów były formatu A0. Żadna z lubańskich instytucji nie dysponowała sprzętem umożliwiającym odtworzenie ich w skali 1:1, stąd takie redakcyjne zabiegi wykonano w sąsiednim Zgorzelcu. W sumie ocalało 12 planów przebudowy zamku.

Ernest Gütschow nabył zamek w 1909 roku od ostatniego z rodu Üchtritzów, niepodzielnie panującego nad Kwisą przez dwa i pół wieku. Gütschow był właścicielem zamku do końca II Wojny Światowej. Przez wiele lat pozostawało niewyjaśnione, skąd ten „człowiek znikąd” będący dyrektorem generalnym zakładów tytoniowych Jasmatzi - Werke w Dreźnie, mógł wyłożyć niebagatelną kwotę 4 milionów marek na odbudowę tak potężnego obiektu.

Z pewnością Gütschow wiedział, że Ehardt specjalizuje się w odbudowie i rekonstrukcji zamków - jego dziełem był wcześniej choćby zamek Marks-

burg koło Braubach nad Renem, nad którego nowym stylem pracował w latach 1899-1905. Gütschowowi polecił Ehardt ambasador Willybald von Dirksen, wielki przemysłowiec z Meklemburgi, właściciel nieodległego zamku w Grodźcu koło Złotoryi, rekonstruowanego przez Ehardta w latach 1906-1908. Ukończone dzieło osobiście zwizytował sam Wilhelm II. Gütschow, świeżo upieczony właściciel Czochoy, znał niewątpliwie Grodziec, który był jedną z większych atrakcji na Śląsku. Niewykluczone też, że mógł znać wcześniejsze dokonania Ehardta, w tym jego wydane prace naukowe. Los rekonstrukcji Czochoy dostał się więc w godne ręce.

Pora wyjaśnić, co zawierają odnalezione plany. Są to rzuty kondygnacji zamku, z naniesionym przeznaczeniem poszczególnych pomieszczeń. Można tu znaleźć między innymi plan sypialni właściciela zamku, najpiękniejszej komnaty, do dziś zachowanej, z przyległą doń garderobą, łazienką, pokojami dla dzieci i guwernantki. Z przymrużeniem oka należy traktować zdarzające się jeszcze i dziś opowieści niektórych przewodników, jakoby komnata ta była zaprojektowana dla... samego cesarza!

Inne plany Ehardta przedstawiają wjazd na zamek, przedzameczkę z tzw. kasztelanią, układ fasadowy obiektu od strony wjazdowej, układ rozmieszczenia mebli w salonie, a nawet schemat instalacji elektrycznej zamku! Wszystko to zaplanowano i przebudowano do roku 1914, czyniąc mury, dachy, wieże, a nawet witraże w oknach „bardziej średniowieczne” niż w średniowieczu, czystsze i doskonalsze w architektonicznej formie.

Uzupełnieniem odnalezionej kolekcji są dwa plany związane z budową zapory na Kwisie. Pierwszy z nich, najstarszy w całym zbiorze, bo pochodzący z kwietnia 1903 roku, przedstawia w skali 1:1000 rzut pionowy na koryto Kwisy i zapórę oraz plan zagospodarowania wzgórza powyżej tamy (dzisiejszy ośrodek wypoczynkowy „Baworowo”). Pomiarów dokonał niejaki Hoffmann, inżynier i zaprzyśniony mierniczy. Drugi plan, znacznie większy, ukazuje widok korony zapory z charakterystyczną wieżyczką na szczycie domku-wartowni. Pięć podpisów i pieczęci urzędów budowlanych Wrocławia, Görlitz, Legnicy i Jeleniej Góry (wszystkie z lat 1919-24) nadają jeszcze i dziś „mocy” temu planowi.

GRUNDMANN

„*W Księginkach obok Lubania, w pięknym biedermaierowskim domu zamieszkiwali dziadkowie. Fritz Grundmann - mój dziadek - był tu naczelnikiem urzędu, a ja swoje wielkanocne czy jesienne ferie spędzałem w ich przynalnym małym mieszka-*

niu z tonącym w kwiatach balkonem, z widokiem na dworzec towarowy i nieodległe wielkie zakłady naprawcze kolei” – tak zaczyna w swojej wydanej po wojnie w Niemczech książce „Heimatbuch des Kreises Lauban in Schlesien” (1966) Günther Grundmann, człowiek, bez którego nie może obejść się żadna współczesna publikacja o ukrytych lub zaginionych podczas ostatniej wojny skarbach. Kim był, wyjaśni się nieco później. Tymczasem poczujmy dalej:

„Poza tym wychodziły stąd wspaniałe trasy spacerowe na Kamienną Górę, do Wysokiego Lasu, trasy samochodowe – nad Zaporę Leśniańską, właśnie budowaną. Po drodze mijano się w Księginkach neogotycki młyn z bazaltu i cegły, wielokrotnie przecinając przy tym linię kolejową. Moje trasy wiodły też do Kościelnika Dolnego, Średniego bądź Górnego czy w drugą stronę – w kierunku Uniegoszczu i Jałowca. Gdy było to tylko możliwe udawałem się wraz z babcią po sprawunki do miasta. Mijając Kościół Panien, obok Baszty Brackiej, przejściem pod ratuszem wchodziliśmy na rynek, gdzie kwitł handel. Z powrotem wracało się obok szkoły Zielgera. Szkoła ta, mieszcząca się w pięknym gmachu, prowadziła w Lubaniu niezwykle interesującą produkcję, a mianowicie w dużych cegielniach, których w okolicy nie brakowało, wytwarzano różne gliniane elementy. Były tu orły i kariatydy, balustrady, pilastry i kapitole, a także przeróżne figury i elementy dekoracyjne”.

Grundmann wspomina dalej, że już wówczas zainteresował się historią sztuki, architekturą i ochroną zabytków, w czym pomogły niewątpliwie rodzinne powiązania i znajomości lubańskich dziadków – między innymi z Augustem Sollerem, uczniem Karla Friedricha Schinkla, znanego berlińskiego architekta i jednego z największych w Prusach konserwatorów zabytków. Wśród obiektów, którymi się zachwycił, a te, jak pisze wywarły ogromny wpływ na jego artystyczne widzenie świata, był lubański ratusz, „Dom pod Okrętem”, były zabytki Leśnej i Sulikowa, pałac w Biedrzychowicach i... Zamek Czocho!

Informacja o tym, że Grundmann znał Czochoę od lat najmłodszych (z chwilą zakupu Czochoy przez Gütschowa w 1909 roku miał zaledwie 17 lat) będzie nam potrzebna w dalszych dociekaniach o ukryciu tu cennych skarbów. Nim jednak to nastąpi, przybliżmy późniejszy życiorys Grundmanna. Po studiach historii sztuki w Monachium i Wrocławiu został nauczycielem. Uczył historii sztuki w znanej drzeworytniczej szkole zawodowej w Cieplicach. W 1932 roku został okręgowym konserwatorem zabytków na Prowincję Śląską. Tuż przed wybuchem wojny, w 1938 roku – profesorem w Wyższej Szkole Technicznej we Wrocławiu.



Sala Rycerska

Günther Grundmann podjął się podczas II Wojny Światowej niezwykle zadania. W ciągu niespełna trzech lat ukrył w różnych miejscach Dolnego Śląska (choć nie tylko tu) setki, jeśli nie tysiące zbiorów muzealnych, zabytków, dzieł sztuki, archiwaliów, jednym słowem – prawdziwych skarbów. Obawiano się alianckich bombardowań i z drugiej strony – jak się miało później słusznie okazać – Armii Czerwonej, która wkroczywszy na Dolny Śląsk w 1945 roku, zniszczyła wiele cennych zabytków, bo właśnie te stawały żołnierzom na drodze do zwycięstwa. Ukrycie przez Grundmanna tak znacznej ilości dzieł sztuki (z samego tylko Wrocławia wyjechało 207 transportów!) poprzedzały precyzyjne, zakrojone na szeroką skalę przygotowania. Wystąpiono do dyrektorów muzeów na Śląsku, władz kościelnych i uniwersyteckich, archiwów, instytucji gromadzących księgozbiory, a także do kolekcjonerów prywatnych z wnioskami o przygotowanie najcenniejszych dzieł do ukrycia. Wszyscy adresaci państwowi i kościelni, a także większość prywatnych pozytywnie odpowiedziała na apel wrocławskiego konserwatora. Zaczęto organizować sieć składnic (czy raczej skrytek), a później przeprowadzać do nich transporty z dziełami sztuki.

12 lutego 1945 roku, przed nadciągającą ofensywą radziecką, rozpoczęła się brawurowa ucieczka Grundmanna. Z Karpnik koło Jeleniej Góry, wraz z cennymi dziełami sztuki, wśród których była znakomita „Madonna” Holbeina, udał się on w głąb Niemiec, by po kilkunastu dniach podróży, wielo-



Zachowany portret właściciela zamku i jego małżonki

krotnie przerywanej lotniczymi bombardowaniami, dotrzeć do twierdzy Coburg w północnej Bawarii.

Dzięki polskiemu młodemu historykowi Józefowi Gębczakowi zaszyfrowany wykaz osiemdziesięciu schowków, w których ukryto skarby z różnych miejsc, udało się bardzo szybko złamać. Zagadkową tzw. listę Grundmanna znaleziono zaraz po wojnie w gruzach zniszczonego urzędu konserwatorskiego we Wrocławiu. Tym śladem podażyła specjalnie powołana komisja rewindykacyjna pod kierunkiem Witolda Kieszkowskiego, penetrując kolejne skrytki. Wśród interesujących nas geograficznie miejsc na liście Grundmanna znalazły się: pałac hrabiny von Pfeil w Biedzychowicach przy trasie Gryfów-Olszyna, kościół ewangelicki w Kościelniku Dolnym i nieistniejący już pałac w Studniskach Dolnych. Zastanawiać musi, że na odszyfrowanym wykazie nie było... Zamku Czocha!

I tu pojawia się pierwsza wątpliwość i pytanie - dlaczego? Obiekt ten był przecież Grundmannowi doskonale znany, co sam potwierdza we wspomnieniach. Znakomicie położony, na uboczu, z dala od dużych aglomeracji i szlaków komunikacyjnych, wręcz idealnie nadawał się na skrytkę. Po zakończeniu działań wojennych znajdowano na Dolnym Śląsku (choć nie tylko) miejsca ze znacznymi skupiskami dzieł sztuki. Miejsca te nie były objęte listą Grundmanna. Do nich również docierała komisja Kieszkowskiego. Także i na Zamku Czocha owa komisja działała przez wiele miesięcy z niemałym powodzeniem.

Można zapytać, skąd owa komisja wiedziała o skarbach na zamku? Wyjaśnienie jest stosunkowo proste - z comiesięcznych meldunków otrzymywanych z lubańskiego Starostwa Powiatowego, mówiących o przejmowaniu i zabezpieczaniu dóbr kultury na podległym terenie. Sprawozdania te już od sierpnia 1945 roku sporządzali dwaj pracownicy miejscowego referatu kultury - Karol Orlicz,

tytułowany profesorem i jego zastępca - Bartłomiej Kurka. Ci zaś, w odróżnieniu od całej masy osadników napływających na Ziemię Zachodnie, wyjątkowo znali się na rzeczy. Obaj ci urzędnicy należeli do tych, którzy z pewnością wiedzieli (i widzieli - bo sporządzali wykazy inwentaryzacyjne), co znajduje się w zamkowych skrytkach.

Niewykluczona jest też inna hipoteza. Czocha - obiekt Grundmannowi doskonale znany, mógł nie figurować na żadnej z jego list! Tak! Bezsensowne bowiem byłoby uzupełnianie zamku obcymi, zwożonymi tu w pośpiechu kończącej się wojny dziełami sztuki, jeśli się tylko wie, co zawierają i jak po brzegi wypełnione są zamkowe schowki, w tym pancerny skarbiec. Jeśli się tylko wie, że wśród skarbów są te najcenniejsze z najcenniejszych - insygnia koronacyjne carów rosyjskich, kolekcje ikon, znakomite obrazy...

Jeśli przyjąć tezę, że ktoś jeszcze poza właścicielami zamku mógł wiedzieć o istnieniu skarbu, to z pewnością był nim generalny konserwator zabytków Prowincji Śląskiej.

W latach siedemdziesiątych, gdy po raz nie wiadomo który rozgorzała wakacyjna gorączka wokół poszukiwań Bursztynowej Komnaty, nie brak było i opinii, że jeśli rzeczywiście Bursztynową Komnatę wywieziono do Turynii to mogła ona jechać... przez Zamek Czocha! Pisały o tym m.in. jeleniogórskie „Karkonosze”. Ba, nawet dziś pytanie o Bursztynową Komnatę pada często wśród zwiedzających zamek. Czyżby tworzono kolejny mit? Trudno się temu dziwić, skoro w siedem miesięcy po kapitulacji Niemiec z Zamku Czocha wywieziono w dwóch kierunkach - do amerykańskiej strefy okupacyjnej w Niemczech i do... Jeleniej Góry(!) olbrzymiej wartości skarbu, o którym do dziś krążą różne opowieści. Co zawierał? Spróbujmy rzetelnie odpowiedzieć na to pytanie.

SKARB

Gdy znajdziecie się już w zamkowej Sali Rycerskiej, dwójce drzwi prowadzą stąd do kolejnej, zwanej Salą Marmurową. Wchodząc drzwiami z lewej strony, przejdźcie koniecznie przez całą jej długość. Podnosząc wzrok ku górze, na malowidłach przeciwległej ściany, wśród alegorycznych przedstawień dziejów zamku, ujrzycie dwa jakby nie pasujące do ogólnej całości portrety - kobiety i mężczyzny. Rozszyfrujmy, kogo przedstawiają. Kobieta z portretu to Amerykanka dwojga imion - Józefina Elżbieta. Zaś poważnie wyglądający obok niej mężczyzna to jej mąż - Ernest Gütschow, ostatni właściciel zamku. Niedawno minęła 50 rocznica jego śmierci. To najwyższy czas, by o tym człowieku zacząć pisać prawdę.

Prawdę udokumentowaną, bo legendy wokół jego osoby niespodziewanie łatwo tworzyły i tworzą się same. Dlaczego podupadający zamek nabył człowiek, który z miejsca wyłożył na jego odbudowę niebagatelną na ówczesne czasy sumę 4 mln marek. Kim był i skąd mógł mieć tyle pieniędzy? Przyznam, że pytania te nurtowały mnie od dawna. Z odpowiedzią na nie miało problem wielu próbujących pisać o dziejach zamku, tworząc wokół Ernesta Gütschowa udzielającą się legendę człowieka „nie wiadomo skąd”.

W pojawiających się tu i ówdzie publikacjach sugerowano nawet jego ukraiński(!) pochodzenie, koneksje z białą emigracją rosyjską po Rewolucji Październikowej czy nawet kupienie szlachectwa. W przedstawianiu jego życiorysu nie brakowało „przygięć” także i w drugą stronę, z których do najbardziej sensacyjnych należały nierzadkie próby spokrewnienia go nawet z samymi Rockefellerami(!). Przyczyniło się do tego i to, że na próżno było szukać Gütschowa w „Gothaisches Genealogisches Taschenbuch”, w „Jahrbuch des Vermögens und Einkommens der Millionäre in der Provinz Schlesien”, ani też w „Deutsche Biographie” czy we „Who is who in Germany”.

Stare porzekadło głosi, że kto pyta nie błądzi, co w moich dociekaniach o ostatnim właścicielu zamku sprawdziło się znakomicie.

Klaus Hitzbleck, mieszkający w Niemczech wnuk Gütschowa, tak przekazuje znaną mu historię swego rodu:

„W szczegółach drzewa genealogicznego mojego dziadka nie mogę się cofnąć daleko w przeszłość, ponieważ podczas wojny trzydziestoletniej spłonęły prawie wszystkie księgi kościelne. Zaś kto nie należy do szlachty, nie może z tego powodu zbyt wiele się dowiedzieć. Znam jedynie wywód z linii prostej mojego dziadka. Pradziadek mojego dziadka, czyli mój pra-pra-pradziadek był mistrzem pie-

karskim i nazywał się Samuel Friedrich Gütschow. Nie wiem, kiedy się urodził. Zmarł w 1830 roku. Ożenił się z Anną Marią z domu Bethmann. Dziadek mojego dziadka nazywał się Dawid Gebhardt Gütschow. Urodził się w 1798 roku. Nie znam daty jego śmierci. Ożenił się z Marią Sophią Henriettą z domu Conrad. Ojcem mojego dziadka był Dawid Friedrich Gütschow. Urodził się 7.10.1847 r. zmarł zaś w San Francisco w roku 1906, w następstwie tragicznego trzęsienia ziemi. Wyjechał do Ameryki, ponieważ na skutek spekulacji stracił swój cały majątek. Jego żona, czyli matka mojego dziadka, nazywała się Gustawine z domu Kassler von Sansheim. Urodziła się w 1847 roku, a zmarła w 1913 r. Natomiast mój dziadek, Ernest Gütschow urodził się 18.04.1869 r. Ożenił się z Józefiną Elżbietą z domu Michalitschke. Moja babcia była Amerykanką. Jej rodzice pochodzili ze Szwajcarii i wyjechali do Ameryki (w tym miejscu listu wnuk Gütschowa stawia otwarte pytanie: czy Michalitschke nie jest przypadkiem polskim, przekształconym nazwiskiem?). Mój dziadek wyjechał do Ameryki i tam „wykorzystał” swoje szczęście w przemyśle tytoniowym. Nigdy jednak nie stał się Amerykaninem, choć dwoje jego pierwszych dzieci właśnie tam się urodziło. Ostatecznie wrócił do Drezna i był generalnym dyrektorem i współwłaścicielem Koncernu Jasmatzi. Dziadek kupił zamek Czocho w 1910 roku i przynależne do niego włości. Pod koniec wojny uciekł do Drezna, o mało co nie zginął podczas nalotów i uciekł dalej do Bad Wildungen. Tam zmarł 27.03.1946 r.

Klaus Hitzbleck niewiele wie o zamkowych skarbach swojego dziadka. Najważniejszymi - jak pisze - były dla niego z pewnością książki. Miał ich tysiące. Był ogromnym miłośnikiem literatury rosyjskiej. Nawet posługiwał się biegle językiem rosyjskim.

Helmuth Hocke pracował na zamku. Do końca wojny był on zarządcą dóbr Gütschowa. Później stąd nie wyjechał, mimo że tak uczynił jego pan. Pozostał z żoną i dwójką synów. Pod koniec lat czterdziestych i na początku pięćdziesiątych pracował nawet w aptece w Leśnej. Doskonale zapamiętał go Stanisław Ociepa z Czochoy. To właśnie jemu pod koniec lat czterdziestych Hocke, który już zaczął mówić po polsku, opowiedział, jak wyglądało rozstanie Gütschowa z zamkiem. Do pozostającej tu służby miał powiedzieć:

Pamiętajcie - ktokolwiek tu przyjdzie, Rosjanie czy Polacy, wydajcie im z zamku to, co będą chcieli. Gdyby nawet wywieźli stąd wszystko, to i tak zostanie tu dużo więcej...

Czyżby chodziło o skarbiec i bezgraniczną wiarę Gütschowa w skuteczność jego zabezpieczenia? Hocke nie rozumiał słów swego pana.

„*Franges non flectes*” - złamiesz, ale nie zgnieś! Tak brzmi łacińska sentencja, widniejąca do dziś nad bramą wjazdową. Głęboka i mądra, przez lata całe odczytywana była na różne sposoby. Nawet nieco frywolne, w stylu „*śpiąc nie grzeszysz*”, bo i w komnacie właściciela, nad łóżem, myśl tę wyrzeźbiono w drewnie. Co przyświecało Gütschowi, by umieścić ją jako główny motyw swojej egzystencji nad Kwisą, swoiste credo? Być może to, co miało sprawdzić się już w kilka miesięcy po opuszczeniu zamku. Gdy niemożliwym okazało się złamanie skomplikowanego szyfru zamkowego skarbcza, w ruch poszły palniki spawalnicze. Gdy nie złamano, to pogięto i pocięto. Skutecznie...

CIĘŻARÓWKI JEŹDZĄ DO ZAMKU

Powojenna administracja powiatowa w Lubaniu zaczęła organizować się stosunkowo szybko. Edward Zakrzewski, Pełnomocnik Rządu RP na Obwód Lubań tworzył podległe sobie struktury organizacyjne referatu czyli późniejszego starostwa, zajmującego się różnymi dziedzinami osadniczego życia. A w pierwszych miesiącach brakowało wszystkiego - żywności, odzieży, lekarstw, opału...

No, może prawie wszystkiego, bo jeżeli czegoś nie brakowało, to z pewnością pozostawionych tu dzieł sztuki, zbiorów muzealnych, artystycznych, archiwaliów, bibliotek pełnych książek, mebli, malarstwa, szkła, porcelany, zabytków ruchomych i całych zespołów architektoniczno - budowlanych. Szerzył się szaber. Nic więc dziwnego, że Powiatowy Referat Kultury i Sztuki w Lubaniu próbując podległe sobie jakoś dobra zabezpieczyć, miał pełne ręce roboty. Kierował nim wspomniany doktor Karol Orlicz, mający do pomocy referenta Bartłomieja Kurkę,



Leśna. Stąd odjechał w "nieznane" z zamkowymi skarbami burmistrz Kazimierz Lech

Szybko, bo już w sierpniu 1945 roku wytypowano do skatalogowania najcenniejsze ruchomości z najcenniejszych obiektów - pałaców w Studniskach i Biedrzychowicach, Archiwum Miejskiego, Archiwum Klasztoru Sióstr Magdalenek i Muzeum Miejskiego w Lubaniu (mieściło się wówczas w „Domu pod Okrętem”) oraz z Zamku Czocho.

Zamek, jako, że pozostała tu niemiecka służba Gütschowa, okazał się dla polskiej nowej władzy obiektem wyjątkowo tajemniczym i intrygującym. Niemal każdy spędzony tu dzień przynosił coś zaskakującego. A to odkrywano jakiś zamaskowany schowek, a to odnaleziony zbiór zdumiewał swoim rozmiarem. Przy inwentaryzacji zamku obaj referenci korzystali z pomocy leśniańskiej władzy i to w osobach samego burmistrza Kazimierza Lecha oraz komendanta posterunku MO Lucjana Czerniaka. Ba, więcej! Lokalna władza dokładnie wiedziała, co w zamku dotychczas odnaleziono i spisano, każdorazowo potwierdzając swoimi podpisami sporządzane na tę okoliczność protokoły. Zatwierdzał je osobiście starosta lubański - Antoni Stawiariski, kolejna osoba z kręgu władzy, wtajemniczona w całą akcję.

Jak się później miało okazać, istotną rolę przy tej inwentaryzacji odegrała pewna Niemka - Krystyna von Saurma, pełniąca funkcję zamkowej bibliotekarki. Niech nikogo nie zdziwi ta funkcja, wszak już w jednym z pierwszych sprawozdań polska administracja doliczyła się, iż biblioteka Ernesta Gütschowa liczyła około 25 tysięcy tomów(!). Taką bibliotekę musiała wymagać stałej, fachowej opieki.

W pierwszych rozmowach z wysłannikami Ministerstwa Kultury i Sztuki lubańskie starostwo sugerowało nawet, by mając na uwadze zasobność biblioteki zorganizować na zamku kolonię wypoczynkową dla profesorów Uniwersytetu Wrocławskiego, uczonych, dziennikarzy i literatów. Obiekt był bowiem w doskonałym stanie.

Tymczasem do Lubania zaczęły przyjeżdżać pierwsze ciężarówki. Były to tzw. ekspedycje reindykacyjne Ministerstwa Kultury i Sztuki, wysyłane głównie po to, by zabrać co cenniejsze dzieła sztuki. W międzyczasie na zamku 9.10.45 r. odnaleziono w zamurowanej piwnicy niezwykle cenny zbiór starorusyjskich ikon (ocenianych na XII - XVIII wiek), malowanych na drewnie, tkanych i malowanych, okładanych srebrem, złotem, wysadzanych kamieniami. Sporządzona precyzyjnie, pozycja po pozycji, ich inwentaryzacja zdumiewa swoim opisem nawet po pięćdziesięciu latach:

(...)9. *Matka Boska z dziećciem; w blasze, aureola wysadzana brylancikami(...)*

15. *Matka Boska z ukrzyżowanym Chrystusem, wyr. w złotej blasze(...)*

17. *Apostołowie; przetykane złotymi i srebrnymi niemi i perełkami (...)* Ikonów razem sztuk 136. *Dalsze prace w toku* - podkreślił w swym sprawozdaniu referent Karol Orlicz. To również niezwykle cenna informacja, odpowiada bowiem na pytanie, ile ikon zginęło z zamku. Wrócimy jeszcze do tego. W tym samym czasie zinwentaryzowano sześćdziesiąt odkrytych popiersi carów rosyjskich wykonanych w brązie i 1 zabytkową monstrancję.

W kilkanaście dni później spisano trzy dalsze skrzynie i jeden kufer przedmiotów, głównie naczyń stołowych, które po przeliczeniu zdeponowano w ratuszu, w... kasie magistratu miasta Leśnej(!). To kolejna cenna wskazówka, do której również wrócimy.

Doliczono się jeszcze trzech koszy, jednej skrzyni, walizy i pudła skórzanego porcelany miśnieńskiej, złożonych bądź srebrnych sztućców, kieliszków, talerzy. Wszystko to przechowywano w piwnicy... między książkami(!). Inwentaryzacje sporządzono na miejscu, w komnatach zamkowych, a za blankiety spisowe posłużyły oryginalne papiery firmowe z nadrukiem Georg A. Jasmatzki Akt.-Ges. Cigaretten Fabrik Dresden, której - przypomnijmy - współwłaścicielem i dyrektorem generalnym był pan na Czosze - Ernest Gütschow.

GDZIE SĄ SKARBY I ... LEŚNIAŃSKI BURMISTRZ?

"Zgadzam się na cytowanie „Pokoju pancernego” - tymi słowami zakończył swój list do mnie Krzysztof Kąkolewski, znakomity reportażysta i dziennikarz. Odetchnąłem z ulgą, bo nie wyobrażałem sobie inaczej. Jest tu zawarty unikalny opis zamkowego skarbcza, swoistego pancernego pokoju, tytułowego „bohatera” jednego z opowiadań z „Dziennika tematów” bądź „Pitawalu Wrocławskiego”. Szkoda, że wejście do skarbcza jest od kilkudziesięciu lat zamurowane. On sam mógłby niewątpliwie stanowić dodatkową atrakcję turystyczną, urozmaicając trasę zwiedzania zamku. Pozostaje więc wyobrazić sobie, jak wyglądał.

Pod koniec lat pięćdziesiątych Kąkolewskiemu dane było go zwiedzić. Tak to zapamiętał i opisał:

Proszę o dostęp do podziemi zamku. W rękę trzymam rozłożony plan (...) Legenda składa się z dziewięciu oznaczeń. Z planu wynika, że z sieni trzeba przejść do kredensu. Komendant nie okazuje zdziwienia, wzywa do siebie dwie osoby z personelu, które otrzymują polecenie udostępnienia nam podziemi zamku. Zauważamy pewne niezgodności z planem: z korytarza schodzimy piętro niżej, trafiamy do kuchni, przechodzimy przez nią, odgadując, że na kolację wczasowicze będą jedli smażoną rybę z kapustą, wychodzimy na mały, niżej położony

dziedziniec, ze wszystkich stron zamknięty skrzydłami zamku. Stąd przez kute drzwi dostajemy się w amfiladę sal, służących jako pomieszczenia gospodarcze. Następnymi schodami schodzimy jeszcze niżej, do piwnicy zawałonej teraz ziemniakami i cebulą. Legenda wiążąca się z tymi piwnicami była już nam znana. Tylko one były naprawdę średnio-wieczne i ich strukturę przy przebudowie zamku zachowano. Są wielokondygnacyjne. Korzystając jednak z przebudowy, niektóre piwnice odcięto i zamaskowano ich istnienie. Podobno białogwardziści wnosili tu nastrój lęku i tajemnicy, zapowiadając „nadejście bolszewickiej nawały”. Wszystkie stare plany zniszczono, a w przewodnikach niemieckich uwidocznione były tylko podziemia adoptowane do celów gospodarczych. Ale i te plany zostały wyrwane z ocalałych po wojnie przewodników.

Między dwoma stosami cebuli w rogu piwnicy w betonowej podłodze jest trójkątny otwór. Zapalamy latarki i miniaturowymi schodkami schodzimy na niższą kondygnację. Znajdujemy się teraz w ciasnym pomieszczeniu, pięciokątnym, niskim, a przed nami drewniane sklepione drzwi do następnego pomieszczenia, przypominającego przedpokój. Kolejne drzwi ze stali są półotwarte, a w środku wycięta jest w nich dziura wielkości lufcika. Są tak ciężkie, że ruszenie ich wymaga nie lada wysiłku. Wciskamy się do środka, doprowadzamy tu kabel i wkręcamy 500-watową żarówkę. Zaczynam oględziny. Leonard Dudley fotografuje. Pomieszczenie jak na pancerny sejf jest gigantyczne. Wyjmujemy taśmę mierniczą: pancerny pokój na 2 metry wysokości, 4,5 metra długości i 3 metry szerokości, czyli jego kubatura wynosi 27 metrów sześciennych. Wewnątrz obłany jest betonem, w którym w umiarkowanej wilgotności występują ciemne pasma zdradzające stalową konstrukcję. Na podłodze szczątki spalonych gazet, pokłady stopionej stearyny, ogarki świec, w dwóch rogach ślady kucia betonu. Poszukiwacze sądzili widocznie, że jeszcze coś jest pod podłogą, ale wykuli kilkucentymetrowe dołki i zniechęcili się, natrafiając na opór materiału. Drzwi mają grubość 33 centymetrów - warstwa pancerza stalowego, warstwa betonu i jeszcze pancerz stalowy. Wewnątrz szczątki zamków, na zewnątrz koło, przypominające urządzenia do otwierania włączów i zaworów w lodziach podwodnych, które po otwarciu zamka uruchamiało urządzenia odblokowujące drzwi. Cała ta maszyna jest zniszczona. Włamywacze wyciąwszy otwór w drzwiach musieli wsunąć przezeń stalowe drągi lub jakieś inne dźwignie, którymi rozsadzili tę maszynę i spowodowali, że 14 stalowych bloków ustąpiło. Późniejsza ekspertyza Zakładu Kryminalistyki Komendy Głównej MO, dokonana na moją prośbę, potwierdziła nasze przypuszczenia. Eksperti dodali, że datę budowy sejfu

trudno określić dokładnie, ale na pewno wykonany został przed rokiem 1940 przez znakomitych fachowców z Zachodu. Potwierdza to zasłyszana (...) wiadomość, iż kasa była budowana przez firmę nowojorską pracującą dla Rockefellerów. Rozpruta zaś została także przez wybitnych fachowców. Pozostawione na metalu ślady pozwalają mekhanoskopom na postawienie hipotezy, iż był to któryś z mistrzów szkoły lwowskiej, jednak styl włamania nie wskazuje dostatecznie wyraziście, który by to mógł być.

Personel schodzący tu za kablem nie może nam nic powiedzieć poza tym, że pancerny pokój wbudowany jest w konstrukcję ogromnych głazów spojonych betonem. Wszyscy zastali go kiedy był już zdekonspirowany i obrabowany, ale kto tego mógł dokonać nie wiedzą.

Przez pół wieku snuto na ten temat różne przypuszczenia. Za najbardziej pewną przyjmowano wersję o dwóch uciekających w kierunku granicy, jadących jedna po drugiej ciężarówkach. O jaką granicę chodziło? - tego nie precyzowano, skłaniając się jednak ku granicy polsko-czeskiej. Gdyby zatrzymano pierwszą ciężarówkę posłużyć miała ona za „przynętę” dla pograniczników i celników(?). W tym czasie druga bezpiecznie i cała miała przejechać przez granicę i dotrzeć do amerykańskiej strefy okupacyjnej w Niemczech. Uciekający nią polski burmistrz Leśnej i niemiecka klucznica (słowo to wymyślono chyba dla potrzeb stworzenia owej legendy, w rzeczywistości chodziło o zamkową bibliotekarkę z rodowodem, bo z „von” przed nazwiskiem) mieli się wkrótce pobrać, żyjąc dostatnio i szczęśliwie, wcale nie obnosząc się za grabionym bogactwem. Zaś zatrzymaną pierwszą ciężarówkę cofnięto do Jeleniej Góry. Tu jej zawartość wkrótce po zdeponowaniu w miejscowym archiwum, w dziwnych okolicznościach „ulotniła się” - i to wraz z osobami odpowiedzialnymi za jej pilnowanie. Późniejsze opisy to już tylko domysły i przypuszczenia. Jest w tych opisach różnorodność - plotka przeplata się z prawdą, więc próbując trzymać się faktów, prześledźmy losy zamkowych skarbów i - niech mi będzie wolno w tym miejscu pozwolić sobie na małą nieskromność - losy po raz pierwszy udokumentowane. Na ile to było tylko możliwe.

Styczeń 1946 roku był piątym miesiącem inwentaryzacji dóbr zamkowych. Drobiazgowo wykonywali to referenci do spraw kultury lubańskiego starostwa. W międzyczasie do zamku dwukrotnie zajeżdżają wrocławskie ciężarówki. Lecz one w ramach akcji rewindykacyjnej zabierają jedynie książki. Zamkowymi dziełami sztuki interesują się także uczeni z Krakowa. Co cenniejsze odnajdywane na zamku rzeczy, deponowane są w kasie pan-

cernej leśniańskiego burmistrza Kazimierza Lecha. Inna część zamkowych skarbów bezpiecznie lokowana jest w... depozycie Milicji Obywatelskiej Leśnej. Burmistrz przeczuwa, że kolejna ekspedycja rewindykacyjna może upomnieć się o zawartość obu depozytów. W tym czasie zamkowa bibliotekarka, Krystyna von Saurma, wskazuje polskim władzom (a może przypadkowo odkrywa?) najcenniejszą ze skrytek. Właśnie ów „pokój pancerny”

Burmistrz wie, że grunt pali mu się pod nogami politycznie jest już stracony. Lokalna organizacja PPR nie jest zadowolona z jego sposobu sprawowania władzy w miasteczku. Pojawiają się oskarżenia o systematyczne nadużycia. PPR szykuje się do odwołania Kazimierza Lecha ze stanowiska. Partia popiera leśniańskie dowództwo II Komendy Ochrony Pogranicza. Na 31 stycznia wyznaczono nawet termin partyjnej egzekutywy. Odejść można ale nie z pustymi rękoma! A burmistrz ma dostęp do zamkowego skarbcza, więc spróbuje to wykorzystać. Powstaje zuchwały plan ucieczki. Wcześniej jednak trzeba się do zamkowego skarbcza dostać. A to jest zabezpieczony skomplikowanym mechanizmem szyfrującym. Czas nagli, a tu trzeba wielu ludzi, aby utrafić z kombinacją cyfrową mechanizmu. Tak, aby drzwi do skarbcza puściły.

W Leśnej mieszka pewien Niemiec. Nazywa się Stiller i jest ślusarzem. Stiller otrzymuje kolejne polecenie. Nie pierwsza to jego robota w tym pełnym tajemnic zamku, bo już wcześniej odkryto tu kilka schowków. Były w nich kasety ogniowtwałe, wina, należało je otworzyć i spisać zawartość. Wtedy to z polecenia referenta Orlicza posłużono się Stillerem. Nawet sam pan wicestarosta posyłał po niego. Stiller mocno się stara, bo wie, że zapłata za robotę ma być solidna i w dodatku w srebrze.

Jak długo rozpruwano główny skarbiec? - trudno to dziś ustalić. Może dobę, może dwie... Pracowano w pocie czoła, bez przerwy. Jednak zawartość, jaka ukazała się chciwym ludzkim oczom, musiała przyćmić swym bogactwem wszelkie dotychczasowe odkrycia na zamku. Teraz nikt nie miał czasu na inwentaryzację. Pewnie to wówczas Lech poczuł, że to jego największa, życiowa szansa... A 31 stycznia przestał być burmistrzem. PPR odwołała go ze stanowiska.

Następnego dnia, w piątek, 1 lutego 1946 roku rozpoczynają się tajemnicze zniknięcia. O wpół do piątej po południu komendant posterunku MO Leśnej Lucjan Czerniak i jego zastępca Stanisław Prokopowicz wystawiają sobie „lewe” rozkaz służbowego wyjazdu do Lwówka. Ma to zmylić i opóźnić pościg. Biorą nie tylko milicyjne motocykle, ale i zawartości milicyjnego depozytu, uciekając w nieznanym kierunku. Przepadają bez wieści. Tymczasem w Lubawce, gdzie siedzibę ma lubański Urząd Bezpieczeństwa zdążył pod-

jakiegokolwiek czynności. Dochodziła godzina 23, gdy były burmistrz Kazimierz Lech odjeżdżał wraz z żoną spod swej leśniańskiej willi, zabierając - jak to zanotowano w wojskowym raporcie - szereg drogocennych rzeczy oraz inwentarz żywy pochodzący z jego majątku. W poniedziałek (4 lutego) zauważono, że w Leśnej nie ma również zastępcy Lecha, niejakiego Edwarda Madeja, który wraz ze swą kochanką udał się w kierunku Zgorzelic (pierwsza powojenna nazwa Zgorzelca - przyp. JS). Tajemnicze zniknięcia burmistrza i jego zastępcy oraz obu szefów leśniańskiej milicji skojarzono dopiero po kilku dniach. Wówczas wyszło na jaw, że działali razem.

Pierwsze dochodzenie w sprawie ucieczki przeprowadza dowództwo odcinka II komendy Ochrony Pogranicza w Leśnej. Prawdopodobnie próbowało ono wyjaśnić, dlaczego żadna z 6 strażnic II odcinka nie odnotowała faktu przekroczenia granicy przez załadowaną ciężarówkę. A jednak ciężarówka z zamkowymi skarbami przez granicę przejechała!

Pogranicznikom spieszyło się z wyjaśnieniem sprawy. Czas naglił, bo plądrowaniem Zamku Czocha osobiście zainteresował się wojewoda wrocławski - Stanisław Piaskowski. Wkrótce też zatrzymano drugą ciężarówkę. Dziś wiemy, że mitem okazało się rozpowszechniane przez lata stwierdzenie, że miało to miejsce na południowej granicy Polski. W żadnym z drobiazgowych, codziennych meldunków sytuacyjnych z granicy nie odnotowano tego faktu! Początkowo sądziłem, że - być może - w dokumentach granicznych próbowano zataić ślad jej zatrzymania - hipoteza wielce prawdopodobna, bo skuteczny przejazd przez granicę pierwszej ciężarówki chwały obrońcom granic z pewnością nie przyniósł. Rzeczywistość okazała się zupełnie inna.

Odnaleziona niedawno przez Stanisława Siorka we wrocławskim archiwum Muzeum Narodowego dokumentacja Stefana Styczyńskiego z akcji zabezpieczenia zabytków ruchomych na Dolnym Śląsku podaje, że depozyt z drugiej (choć lepiej nazwać ją - innej) ciężarówki został przekazany do Obwodowego Urzędu Likwidacyjnego w Wałbrzychu dnia 1 stycznia 1946 roku, a więc równo miesiąc przed brawurową ucieczką burmistrza Leśnej i jego kompanów! W zatrzymanej pod Wałbrzychem ciężarówce jechał szef kultury i sztuki lubańskiego starostwa Karol Orlicz, ten sam, który z takim znanstwem spisywał przez wiele miesięcy zamkowe skarby. A więc nie z południowej granicy a z Wałbrzycha cofnięto pojazd do Jeleniej Góry.

Z Orliczem jechał ktoś jeszcze. Tu podejrzenie pada na lubańskiego wicestarostę Stanisława Kiendę. Podejrzenie, bo faktycznych dowodów brak, po kilku miesiącach zaprowadzi obu urzędników sta-

rostwa na ławę oskarżonych w słynnym lubańskim procesie. „Pomocnym” okazało się wojskowe dochodzenie, wskazujące Kiendę jako tego, który miał brać udział w rabunku(?!).

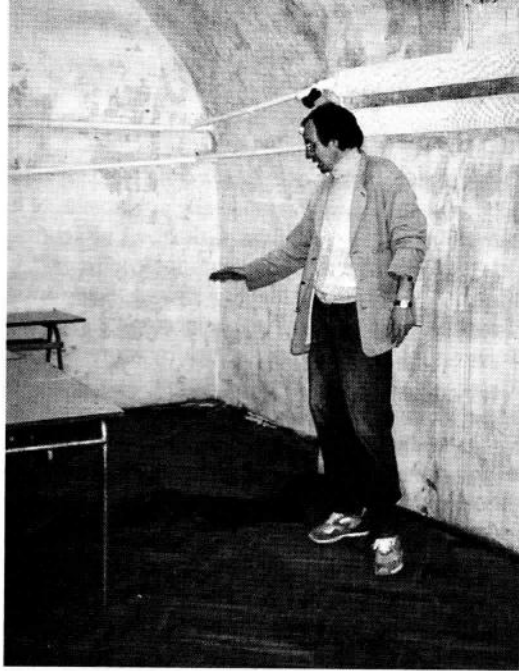
A urabiana przez całe lata wersja (przytaczana również w reportażu Kąkolewskiego) głosiła, że to burmistrz Lech miał podać Orliczowi i Kiendzie fałszywą godzinę odjazdu, eliminując ich z gry „w skarby” i uciekając bez nich pierwszą ciężarówką. Gdy zatrzymano drugą (inną) ciężarówkę, jej pasażerowie mieli wyjaśniać, że skarby które ze sobą wiozą jadą... na Wawel do Krakowa. Było to nawet logiczne i wytłumaczalne. Karol Orlicz miał bowiem udokumentowany kontakt z krakowskimi uczonymi z Wawelu (między innymi z profesorem Bochnakiem), którzy odwiedzili go w Lubaniu



Jelenia Góra. W Archiwum Wojewódzkim urywa się ślad po drugiej ciężarówce wyładowanej zamkowymi skarbami

jeszcze w 45 roku, nim na dobre ruszyła do pracy ekipa rewindykacyjna Kieszkowskiego interesująca się najcenniejszymi dziełami sztuki. Gdy zaś ciężarówka z burmistrzem dotarła do amerykańskiej strefy okupacyjnej w Niemczech lub do zajętej przez Rosjan Austrii (bo i ten wariant ucieczki ma swoich zwolenników), słuch o zamkowych skarbach zaginął. Burmistrz Lech miał ponoć ożenić się z Krystyną von Saurma, zamkową bibliotekarką i wspólnie z nią prowadzić sklep. Nie wiadomo również, co stało się z wiceburmistrzem Madejem i obydwoma komendantami leśniańskiej milicji.

Wkrótce w Leśnej wymieniono całą 14-osobową załogę komisariatu, także wplątana w grabienie przekazanych „w depozyt” niemałych resztek z zamkowych kosztowności. Coś w tym było, bo przez wiele lat milicja skutecznie blokowała wszelkie informacje o rabunku skarbów z zamku. Potwierdza to również Krzysztof Kąkolewski, mający niemałe kłopoty z zamieszczeniem „Pokoju pancernego” w którejkolwiek ze swoich książek.



Tu – pokazuje autor – było zejście do podziemnego skarbcza, prawdziwego „pokoju pancernego”

Jedna z wersji głosi, że Ernest Gütschow miał na niemieckiej ulicy rozpoznać swoją bibliotekarkę, wytoczyć jej i Lechowi proces sądowy o zagarnięcie zamkowych skarbów i przegrać go z braku dowodów na to, co z zamku ukradziono. Wkrótce też Gütschow miał w dosyć dziwnych okolicznościach zginąć w wypadku samochodowym. Przytaczam tę wersję, choć trudno uznać ją za wiarygodną. Nieprawdopodobne jest, by w tak krótkim czasie odnaleźć rabusiów, wytoczyć im proces i zginąć w jego następstwie. Przypomnę, że skarby wywieziono 1 lutego, zaś Ernest Gütschow, właściciel Czochoy zmarł, 27 marca 1946 roku. Żaden proces sądowy, a ten w amerykańskiej strefie okupacyjnej zwłaszcza, nie mógłby odbyć się w tak ekspresowym tempie!

Komu więc zależało na stworzeniu tej legendy? Nie można wykluczyć, o czym będzie mowa w dalszej części, że za ukradzionymi i przywiezionymi do Niemiec skarjami rozgrywała się swoista „gra wywiadów”. Proszący o zachowanie anonimowości emerytowany pracownik milicji wyjawiał mi niedawno, że na początku lat siedemdziesiątych Rosjanie mieli na jednej z wystaw (niestety, nie podał gdzie) publicznie pokazać skarby kijowskiej Ławry Peczarskiej, wśród których miały być i te odzyskane z Zamku Czochoa, a należące niegdyś do carów rosyjskich.

Tę drugą, zatrzymaną pod Wałbrzychem ciężarówkę, zawrócono i pod eskortą skierowano do Jeleniej Góry. Tu miały dzieć się z nią rzeczy równie dziwne i zdumiewające.

CO WIDZIAŁA EUGENIA TRILLER?

Gdy na początku lipca 1993 roku w „Gazecie Robotniczej” ukazał się artykuł „Gdzie jest carski skarb” zapewne mało kto sądził, że odezwie się osoba, która w tej sprawie będzie miała bardzo wiele do powiedzenia. Sam artykuł, pióra Marcego Zwoźnego, w zasadzie nie wnosił nic nowego, najnowszych dziejów zamku. W większości cytował - choć bez przypisów - opisywane wcześniej „Dzienniku tematów” Kąkolewskiego rzeczy znane, niestety, nie pozbawione błędów i przekłamań. Ot, typowy tekst z tajemnicami „w środku”, jak zdarza się na początku każdego sezonu turystycznego. Tym razem nie pozostał bez echa.

Po kilku tygodniach nadeszła odpowiedź. Jej autorką była pani Eugenia Triller mieszkająca w Wrocławiu, zaledwie kilkadziesiąt metrów od redakcji „Gazety Robotniczej”. Swój list zaczęła od słów:

„Jako ówczesny kierownik Archiwum Miejskiego w Jeleniej Górze, chciałabym opowiedzieć, co dzieło się z ładunkiem tej właśnie zatrzymanej ciężarówce”.

Jest gorące lato, po wielu miesiącach i próbach umówienia się na spotkanie docieram do pani Eugenii. Starsza osoba okazuje się być nestorką archiwistki polskiej, pionierką, organizującą po wojnie w 1945 roku archiwum jeleniogórskie. Jest doskonale zorientowana w sprawach skarbów Zamku Czochoa, mimo że nigdy na nim nie była! Pytam o list, który napisała.

- Proszę Pana żadna z redakcji nigdy go nie drukowała w sposób oryginalny, czyli tak, jak go napisałam - mówi z żalem pani Eugenia - oprócz „Robotniczej” również „Słowo Polskie” i „Wieczorne Wrocławia” próbowały zająć się tym tematem. Zawsze jednak coś tam zmieniano, przekręcały moje słowa, wypaczano tekst, do którego wkładły się nieścisłości.

Pani Triller sięga do notatek. Podaje mi rękopis swojej relacji, którą wysyłała do dolnośląskich gazet. Wiernie odtwarzam słowo po słowie:

W „Słowie Polskim” (10-11.12.94) ukazał się artykuł Bruno Brożyniaka „Skarby Zamku Czochoa” i w „Wieczorne Wrocławia” (26-28.10.90) „Tajemnicze losy skarbów carskich” Stanisława Machowskiego. Przed przystąpieniem do właściwego tematu należy przedstawić stosunek Archiwum Miejskiego w Jeleniej Górze do Miejskiego Referatu Kultury. Archiwum Miejskie podlegało Miejskiemu Referatowi Kultury, a kierownik tegoż był jednocześnie kierownikiem Muzeum Miejskiego. Pierwszym moim kierownikiem był Borkowski (nazwisko przybrane?). Opowiadano mi bowiem, że jako Ukra-

iniec zasłużony Niemcom, uciekał wraz z cofającym się wojskiem, chcąc zatrzymać się w Jeleniej Górze. Postrzelił się w nogę (utykał), ożenił się z Niemką i sprzątał Niemcom. Gdy zgłosiłam się do niego po klucz od archiwum, wręczając mi go zabronił wkraczania na I piętro. Bramę otworzyła mi przedwojenna woźna, mieszkająca na II piętrze. W gabinecie, w biurku, znajdowało się sprawozdanie z pracy za miesiąc maj, czerwiec i lipiec. Oficjalnie Archiwum Miejskie było w tym czasie zamknięte.

Do Borkowskiego zgłosił się przybysz z Zachodu, przedstawił się jako profesor Wereszczyński i prosił o pomoc... Za sprawą Wereszczyńskiego Borkowski już po miesiącu czy dwóch znalazł się w obozie pracy, a rzekomy profesor Wereszczyński zajął miejsce dyrektora Muzeum Miejskiego. Przypuszczam, że to nazwisko było też wymyślone. Nie darzyłam Wereszczyńskiego zaufaniem, kilkakrotnie popadłam z nim w konflikty. Uważałam go nie bez podstaw za większego szabrownika od Borkowskiego.

Pewnego dnia mój przełożony, Wereszczyński, polecił mi telefonicznie przygotować w Archiwum Miejskim pomieszczenia - za pół godziny miał nadejść transport. Archiwum uznano za budynek bezpieczny, rzeczywiście były tam grube mury, zakratowane na parterze okna z okiennicami i masywna brama. Przygotowałam obszerne pomieszczenie w drugim skrzydle, gdzie stał długi roboczy stół. Oświadczyłam Wereszczyńskiemu, że zgodzę się na umieszczenie przedmiotów pod warunkiem, że sąd zamknie je i opieczętuje drzwi, gdyż nie chcę brać na siebie żadnej odpowiedzialności. Wkrótce też nadjechała ciężarówka. Kiedy wnoszono skrzynie, sędzia opowiedział mi sensacyjną historię. Otóż ciężarówkę pełną skrzyni zatrzymano na granicy czechosłowackiej. Okazało się, że skrzynie pochodzą z Zamku Czocha. Ciężarówka wraz z jej „właścicielem” pod konwojem milicji została skierowana do sądu w Jeleniej Górze. Rzekomego właściciela uwięziono. W piwnicy sądu złożono porcelanę, kryształ i około 100 albumów filatelistycznych (nie pamiętam czy coś więcej?). Za radą Wereszczyńskiego to, co nie zmieściło się w piwnicach sądu, postanowiono zabezpieczyć w Archiwum Miejskim.

Byłam obecna przy otwieraniu skrzyń i spisywaniu ich zawartości. W jednej czy dwóch skrzyniach znajdowały się popiersia wszystkich carów, od Ruryka do ostatniego z rodu Romanowów. Rzeźby były brązowe, u dołu podpisane cyrylicą. Wymowano je i ustawiano wzdłuż długiego stołu. Miałam niektóre w rękach, m.in. Piotra Wielkiego czy Katarzyny II. W innej skrzyni były kandelabry ze stołu carskiego - ustawiono je także drugim rzędem na stole. W innej znajdowały się nakrycia stołowe, wśród których ukryto rękopiśmienny kodeks z XIII wieku pisany łaciną. Pergamin średniej grubości był opra-

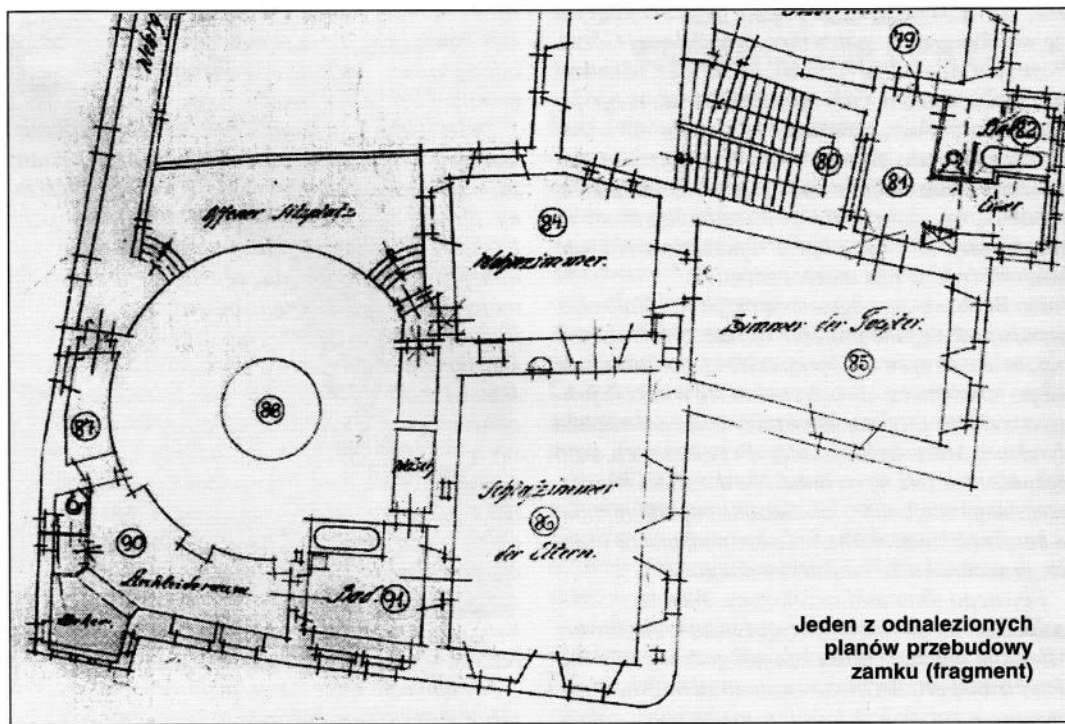
wiony w białą świńską skórę. Sędzia chciał mi go nawet pożyczyć, ale ja odmówiłam, nie chcąc za nic odpowiadać. Jakkolwiek chętnie chciałbym to przejrzeć i przestudiować.

Dalej widziałam ikony - było ich może kilkaset. Ustawiono je na podłodze, wzdłuż długiej ściany zajmując całą przestrzeń od końca do końca ściany. Stawiano je od największej do najmniejszej. Niektóre oglądałam. Zainteresowała mnie najmniejsza, malowana na atlasie. Była wielkości mojej dłoni z dedykacją na odwrocie, pisaną cyrylicą, skierowaną do młodego arcyksięcia. W wielkiej skrzyni znajdował się piękny obraz Matki Boskiej z Dzieciątkiem, w szerokich złotych czy pozłacanych ramach. Obraz ten zarejestrowano, ale ze skrzyni nie wyjęto. Szkoda, bo obraz był w skrzyni wysoko umieszczony, a pod nim mogło się coś jeszcze znajdować. Sędzia zamknął drzwi tego pomieszczenia, opieczętował je, a klucz zabrał. Świadczy to o tym, tak mi się przynajmniej wydawało, że skarb carski rozdzielono i ukryto w kilku schowkach czy kondygnacjach Zamku Czocha. Nie wiadomo, co jeszcze kryją te piwnice...

Nie upłynęło wiele czasu, kiedy zjawił się w sekretariacie niepozorny, w średnim wieku człowiek z 12-14-letnim chłopcem. Szukał mnie. Powiedział, że został zwolniony z aresztu, jest z Zamku Czocha i ma klucz do pomieszczenia archiwum. Klucz wyjął chłopak, mu towarzyszący. Nieznajomy chciał wybrać kilka albumów filatelistycznych. Od sędziego wiedziałam, że albumy zdeponowano w piwnicach sądu. A więc nieznajomy kłamał. Nie prowadząc z nim żadnych rozmów odebrałam klucz i spisałam protokół w obecności dwóch świadków - urzędników miejskich. Złożyłam klucz w szafie pancерnej w gabinecie prezydenta miasta. Osobiście zrobiła to sekretarka w naszej obecności. Skojarzyłam sobie, że nieznajomego zwolniono z aresztu za cenę ujawnienia jeszcze innych informacji o skarbach...

Na drugi dzień zjawił się w archiwum sam sędzia wraz ze zwolnionym oskarżonym! Wiedział, że klucz jest w ratuszu. Chciał, abym poszła po klucz. Gdy odpowiedziałam, że nie mam nikogo i że ta sprawa mnie nie obchodzi, sam potrudził się i dwaj panowie weszli do pomieszczenia, gdzie złożono carski skarb. Dość długo „wybierali albumy”, których tam nie było.

Po 2-3 miesiącach pomieszczenie znów otwarto. Tym razem zrobił to Wereszczyński, któremu sąd oddał klucz. Osobiście pakował przedmioty do skrzyń. Przed transportem pytałam, dokąd pojadą. Usłyszałam, że do magazynu muzealnego w Karpaczu. Nigdy o takim magazynie nie słyszałam. Tak przepadła druga część skarbu carskiego, przechodząc w ręce największego szabrownika jakiego znałam. Wereszczyński nadal pełnił funkcję dyrektora



Jeden z odnalezionych planów przebudowy zamku (fragment)

muzeum. Po jakimś czasie z Wrocławia przyjechała dwuosobowa kontrola, w której składzie był mój dobry znajomy. Spotkali się z Wereszczyńskim na ulicy Matejki. Zaprosił ich nawet do swojego gabinetu, żeby się rozgościli i zapewnił, że wraca za chwilę - ma w mieście pilną sprawę do załatwienia. Panowie z Wrocławia czekali kilka godzin, wreszcie poszli do mieszkania Wereszczyńskiego. Nie było po nim najmniejszego śladu. Wereszczyński ulotnił się z Jeleniej Góry i ślad po nim zaginął.

W październiku 1951 roku przeniosłam się do Wrocławia i historię carskiego skarbu, zajętego przez jeleniogórski sąd, opisałam komendantowi milicji wrocławskiej, prosząc o zajęcie się tą sprawą. Obiecał, że to uczyni i zawiadomi mnie o wynikach dochodzenia. I na tym sprawa ucichła.

Tyle Eugenia Triller.

Niezwłocznie jadę do Jeleniej Góry. Archiwum mieści się nadal w tym samym obiekcie, tuż obok dworca PKS. Ivo Łaborewicz, kierownik, pokazuje mi najstarsze luźne zapiski o pierwszych polskich pracownikach: Trillerówna Eugenia, mgr filozofii, przyjeta 14.VII.1945 r.; Wereszczyński Zygmunt zwolniony na własną prośbę 30.I.1947 roku (a więc rok po kradzieży zamkowych skarbów - przyp. JS). Później oprowadza mnie po placówce. W prawym skrzydle parteru jednego z pomieszczeń strzegą potężne, stalowe drzwi. Tu zdeponowano zamkowe ikony. Mierzę krokami długość pokoju. Wychodzi około sześć i pół metra. A więc wszystko się zgadza! Jeśli oprawione w bogate ramy ikony ustawio-

no, jedną obok drugiej, to przyjmując po 4-6 cm grubości, mogły zająć całą długość pokoju! Tak, jak relacjonuje to pani Triller. W odnalezionych pięćdziesięciu latach dokumentach z inwentaryzacji Zamku Czocho wyraźnie zapisano: „ikonów razem sztuk 136”.

Co się więc stało ze skarbami? Jak już pisałam wcześniej, jedna z ciężarówek bezpiecznie przekroczyła granicę, udając się na Zachód. Inna - po wielu perypetiach - znalazła się w Jeleniej Górze. Tu w jeleniogórskim archiwum i w piwnicach sądu urywa się wszelki ślad po nich, a przynajmniej tej części, która została w Polsce.

Niestety, do dziś nie udało się wyjaśnić, kim był ów tajemniczy nieznanemu z chłopcem, który zjawił się u pani Triller w archiwum. Może ktoś z referatu Kultury i Sztuki lubańskiego Starostwa Powiatowego? Albo może ktoś ze służb specjalnych, bo zamek był także obiektem zainteresowań wywiadów?

Może liczył na to, że na zamku zostało coś jeszcze? Gdy nie już nie znalazł, zaczął penetrować jeleniogórski depozyt. Nazwiska towarzyszącego mu sędziemu nie udało się ustalić. Z pewnością rolę tego jeleniogórskiego przedstawiciela wymiaru sprawiedliwości w sprawie kradzieży zamkowych skarbów musiała być znacząca.

Wkrótce w Lubaniu, na sesji wyjazdowej sądu jeleniogórskiego zorganizowano pokazowy proces sądowy tych, którzy stać się mieli kozłami ofiarnymi wielkiej manipulacji. Skoro skarby z Zamku Czocho zniknęły, „winni” musieli się znaleźć.

PROCES

Był rok 1946. W Lubaniu Stanisław Kienda jak zwykle szykował się do pracy. Miał do niej bardzo blisko, mieszkał na Mickiewicza pod piątką, wystarczyło tylko przejść przez ulicę. Po drugiej stronie, gdzie dziś znajduje się Urząd Rejonowy, mieściło się Starostwo Powiatowe, kierowane przez Antoniego Stawiarskiego. Kienda był jego zastępcą. Nagle ktoś zapukał do drzwi.

- Jest pan aresztowany! - oznajmił zdumionemu gospodarzowi jeden ze „smutnych” pracowników jeleniogórskiej bezpieki. Pozwoli pan z nami!

Spreparowany proces pokazowy poprzedziło wielomiesięczne śledztwo. Rzekomo „wiarygodne” zeznania świadczące o współudziale Kiendy w rabowaniu skarbów z Zamku Czocha mieli złożyć pracownicy lubańskiego Urzędu Bezpieczeństwa. Proces w celu wywołania określonego efektu propagandowego odbył się na sesji wyjazdowej w Lubaniu, w siedzibie Starostwa Powiatowego dokładnie 28 listopada 1946 roku. Wśród licznie zgromadzonej publiczności, na sali znalazło się wielu pracowników starostwa. Niektórzy z nich, jak choćby pani Krystyna Brzozowska (wówczas Wasik) czy Romuald Filipowicz pamiętają ten proces do dziś, bo wówczas należeli do tych pracowników, którzy usiłowali nie dopuścić do niego.

Pisząc wcześniej kilka razy petycje do jeleniogórskiej prokuratury, wykazując niewinność Kiendy wskazywali, że padł on ofiarą strasznej manipulacji. Petycje podpisywali wszyscy. Choć pętla insynuacji i oskarżeń zaciskała się wokół niego, Kienda wierzył w swoją niewinność, wierzył w sprawiedliwość. Zbagatelizował nawet ostrzeżenia samego wojewody Stanisława Piaskowskiego, że w jego sprawie źle się dzieje. Prywatnie przychylny mu był również niejaki Feliks Solarski, wówczas w randze zastępcy komendanta lubańskiego UB. Sugerował mu wyjazd z Lubania i zniknięcie „gdzieś w Polsce” nim dojdzie do rozprawy. Kienda miał wielu przyjaciół, którzy mogliby mu w tym pomóc. Przeświadczony o swej niewinności wicestarosta i tę radę odrzucił.

Skazano go na 8 lat więzienia, 50 tysięcy ówczesnych złotych grzywny, 5 lat pozbawienia praw publicznych i 8200 złotych opłat sądowych. Skazano również starostę Antoniego Stawiarskiego. Otrzymał rok w zawieszeniu na 3 lata, zwolniono go przy tym z kosztów i opłat sądowych. Dokumentacja procesowa jest niezwykle skąpa, niemal żadna. Podczas próby dotarcia do dokumentów starosty i wicestarosty napotykałem na duże trudności. Coś jednak udało się ustalić - w jeleniogórskim sądzie, w sprawie,

którą założono 10.11.46 roku i sygnowano sygnaturą I Ds 124/46, przyjęto w trzy dni później.

Jak już wspomniałem, procesowa „pokazówka” odbyła się 28 listopada. Tempo szalone!

Niestety, w sądzie brak jest akt tej konkretnej sprawy. Także i w wykazie akt sprawy z tego okresu przekazanych po latach na makulaturę, sprawy Kiendy nie ma. Nikt nie wie dlaczego. Szkoda, bo to wyjaśniłoby więcej. Najwcześniejsze akta z zachowanych spraw sądowych pochodzą dopiero z 1947 roku.

Po procesie Stanisław Kienda nie dał za wygraną. Walczył, pisał odwołania. Wciąż wierzył w sprawiedliwość. Krótko odbywał karę więzienia. Pozbawiony wszelkich złudzeń, że w panującym systemie, którego był jednym z trybików, dojdzie sprawiedliwości, że ktoś uwierzy w jego niewinność, załamał się psychicznie.

Niedługo potem pracownicy starostwa w Lubaniu otrzymali wiadomość, że ich były szef nie żyje. Miał odebrać sobie życie, wieszając się w więziennej celi. Reszta - jak u Szekspira - na długie lata pozostała milczeniem...

Wkrótce po procesie Kiendy i Stawiarskiego z Jeleniej Góry ulotnili się... sędziowie. Wraz z nimi zniknął i Karol Orlicz, były kierownik Referatu Kultury i Sztuki w lubańskim starostwie, ten sam, który wcześniej brał udział w spisywaniu zamkowych skarbów. Po latach okazało się, że on także znalazł się na ławie oskarżonych. Był sądzony i skazany w Krakowie. Dowodów, że miał do czynienia z rabunkiem skarbów przy nim nie znaleziono.

W dziwnych okolicznościach ulotnił się Zygmunt Wereszczyński, dyrektor jeleniogórskiego muzeum. To on wraz z sędzią prowadzącym sprawę obu starostów przeszukiwał skarby, zdeponowane w archiwum u pani Triller a potem pakował je w celu wywozu do... nieistniejącego magazynu muzealnego w Karpaczu! Wraz z nimi wszystkimi zniknęła zawartość ciężarówki, tej samej, którą wcześniej zatrzymano, nie jak chce legenda - na granicy polsko-czechosłowackiej, lecz pod Wałbrzychem, później konwojowano do Jeleniej Góry i tam z polecenia sądu częściowo zdeponowano w archiwum, a częściowo... gdzieś indziej.

Wiemy, że ciężarówka długo jeszcze stała na sądowym dziedzińcu. Właśnie tu, w Jeleniej Górze ostatecznie urywa się polski ślad skradzionych skarbów z Zamku Czocha. Przypomnę, że ciężarówką wyładowaną zawartością zamkowego skarbcza wyjechał spokojnie z Leśnej jej burmistrz - Kazimierz Lech. Jednak pomimo tak oczywistego zabru - na zamku pozostało nadal wiele cennych dzieł sztuki...